

ALEKSANDER MOSZKOWSKI.

Ukarana blaga.

Do moich właściwości należy, że przy towarzyskiem „przedstawianiu“ slysze zawsze wyraźnie i dokładnie tylko swoje nazwisko, co mi w większości wypadków zupełnie wystarcza. Czy druga osoba nazywa się Szulc, Meyer czy Wolf jest mi to absolutnie obojętne i nie ma zwykle najmniejszego wpływu na prowadzoną rozmowę.

Muszę się z tym faktem zgodzić do czasu aż ludzie na wyższym stopniu kultury nauczą się nazwiska swoje i tytuły czytelnie wykaligrafowane nosić na swoich ubraniach dla uniknięcia możliwych nieporozumień.

Parę razy w życiu zdarzył mi się jednak z przyczyny powyższej niezbyt miły wypadek; ot, podczas tej luksusowej wycieczki chociażby, którą Lloyd bremeński na swym prześlicznym parowcu swego czasu zorganizował. Wzięli w niej udział li tylko zaproszeni goście i dyrekcja dokładała starań aby nastrój wśród wycieczkowiczów był swobodny i wesoły.

W tym celu przed każdym posiłkiem ciągnęliśmy losy, kto z kim ma zasiąść przy niewielkich czteroosobowych stolikach.

Przy pierwszym śniadaniu przedstawił mi memu vis-à-vis, jakiemuś niepozornie wyglądającemu mężczyźnie, którego nazwiska nie usłyszałem, oczywiście.

Chwilę przedtem telegraf doniósł o anarchizycznym zamachu na Mac-Kinleya, prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rad z okazji popisania się memi bardzo wątpliwej wartości transatlantycznymi wiadomościami, wygłosiłem przed swymi współbiednikami cały wykład na temat amerykańskich stosunków.

Nieznamy słuchał bardzo uważnie, z rzadka tylko i cicho wyrażając powątpiewanie, podczas gdy ja nie zważając na to brnąłem dalej.

— Jeżeli pan zamierza — zwróciłem się wprost do niego — osiedlić się w Ameryce, ostrzegam pana, że będziesz tam sam, bez opieki, poza prawem!!!

Moje vis-à-vis pozwoliło sobie na nieśmiałą uwagę:

— Wszak w Waszyngtonie jest poseł niemiecki, którego pomocy każdy jego ziomek może być pewien!

— Bardzo pan naiwny — zawyrokowałem — jeżeli nie masz silnych pleców w Waszyngtonie, nie dobiejesz się do sekretarza nawet, nie mówiąc już o posle!

Po śniadaniu zasięgnąłem języka, kto jest ów nieznamy, któremu takie serdeczne rady dawałem i proszę sobie wyobrazić moją minę, skoro się dowiedziałem, że był to von Holleben od czterech lat poseł niemiecki w Waszyngtonie!

Nie dość na tem jednakże; sążone mi było „zasypać się“ jeszcze raz w życiu:

fir. Hagenbeck w Hamburgu przysłała nam cennik wszelkiego rodzaju egzotycznych zwierząt. Postanowiłem tedy wykuć ceny na pamięć, ponieważ dziennikarz — jak państwu wiadomo — wszystko wiedzieć powinien!

W ciągu kilku godzin miałem cały cennik w głowie: para bengalskich tygrysów o jednym metrze wysokości w łopatkach — 6,500 marek; czteroletni lew nubijski — 1,500 mk., dorosły hipopotam — 10.000 mk. i t. d.

Kto prócz mnie w świecie, w którym się obracam, ma pojęcie ile jest wart sęp, wiewra, kangurs, hijena? Komy przyjdzie na myśl, że aligatory, krokodyle, węże - boa sprzedają się na miarę jak chodniki i firanki? Cieszyłem się w duchu, szukając już tylko okazji zaimponowania nowonabytą mądrością.

Zdarzyła mi się niebawem przy stoliku w kawiarni, gdzie z kolegami prasowymi spotykałem się codzień. Tym razem jednak prócz zwykłych moich towarzyszy zastałem nieznanego mi blondyma w jasnym kastorowym kapeluszu.

— Jakiś prowincjał — pomyślałem sobie i zająłem miejsce naprzeciwko niego. Koledzy dokonali towarzyskiej ceremonii przyczem, jak zwykle nazwiska mego vis-à-vis nie usłyszałem, mimo to jednak zagaiłem natychmiast rozmowę pytaniem do niego zwróconem: jak mu się Berlin podoba i czy zdążył już zwiedzić ogród zoologiczny? Na co otrzymałem dość lakoniczną odpowiedź, że ani Berlin ani ogród zoologiczny nie są memu interlokutorowi nieznane.

— Jeżeliby pan jeszcze raz do ogrodu zoologicznego zajrzał! — mówiłem dalej protekcyjnie — niech pan się dobrze przypatrzy amerykańskim tapirom. Są to wspaniałe okazy i stanowią majątek! Jeden tapiir kosztuje tysiąc pięćset franków.

— Zdaje mi się, że pan nieco przesadził — odparł grzecznie nieznamy — takiego tapiira można już za osiemset marek nabyć.

— Za osiemset marek? — zawołałem, nie tracąc tupetu — ależ pan, jak widzę, nie ma zielonego pojęcia o cenach egzotycznych i podbiegunowych zwierząt! Wiedz pan o tem, że za jednego niedźwiedzia północnego płacą 3,500 mk., za parę bengalskich tygrysów o jednym metrze szerokości w łopatkach — 6,500, za czteroletniego lwa nubijskiego — 1500, za dorosłego hipopotama — 10,000, za wiewerę - samca również — 10,000!

Nieznamy kilkakrotnie próbował oponować mi, lecz ja, uniesiony własną swadą nie uspokoiłem się aż do chwili wyładowania przed nim całej zawartości hamburskiego cennika.

Zahukany mój słuchacz wstał i tłomacząc się późną godziną, opuścił kawiarnię.

— A to ci się udało! — pokładali się ze

śmiechu niecnoty - koledzy — to dr. Heck, dyrektor berlińskiego Tiergartenu!

Wpadłem w rozpacz, ale przezacni towarzysze opowiedzieli mi na pociechę, co następuje: Pewien francuski dziennikarz znalazł się na jednym z wielkich przyjęć w Elizeum, gdzie można było po defiladzie przed prezydentem rozmawiać z każdym z gości bez stereotypowego przedstawienia.

Żurnalista trafił na jakiegoś niepozornie wyglądającego jegomościa we fraku. Rozmowa zesłała na temat Brazylii.

Przedstawiciel prasy, opierający swe wiadomości o tym kraju na listach zamężnej siostry, mieszkającej w Rio de Janeiro rozwodził się szeroko nad stosunkami w Brazylii i oponującego mu raz po raz nieznanego zamierzał osadzić, mówiąc:

— Ależ nie zaprzeczaj mi pan i pozwól się pouczyć! Ja dobrze znam warunki tamtejsze, podczas kiedy pan nigdy prawdopodobnie Brazylii nie oglądał!

— Owszem — odparł jego niepozorny rozmówca z niezmaconym spokojem — nazywam się Pedro i byłem przed rewolucją w ciągu kilkudziesięciu lat cesarzem Brazylii.

Tłum. Jotsaw.



Gwiazda taneczna z przed 90 laty, Molly Fuller, występująca przez dłuższy czas w londyńskim Variéte.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 3 kwietnia 1927 roku.

Nr. 14.

Zjazd „Sokoła” w Łodzi.



W dniu 20 marca r. b. odbył się w Łodzi zjazd delegatów Rady Okręgu Łódzkiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, w siedzibie własnej, przy ul. Nawrot Nr. 23.

Teatralja.

„Epokowy wynalazek“. — Z teatralnej prowincji. — Echa z Rzymu. — Zemsta autora. Aktorka i... książki.

Teatr Letni, poczuwając się najwidoczniej do cięższych na teatrach naszych obowiązków względem autorów polskich, wystawił w tych dniach „groteskę“ znanego już z dobrej strony J. A. Herta, p. t. „Epokowy wynalazek“. Niestety, choć wypada znów „gamić swoje“, trzeba się przyznać, że ten „Wynalazek“ p. Herta nie jest bynajmniej dobrym wynalazkiem scenicznym i że zawiódł on oczekiwania tych, którzy po autorze „Młodego lasu“ spodziewali się czegoś więcej. „Groteska“ p. Herta jest właściwie kanwą do nienajgorszego sketchu którego miejscem najodpowiedniejszym byłaby scenka jakiegoś wesołego teatrzyku. Jak na — teatr, chociażby Letni, „Epokowy wynalazek“ jest za słaby i za kruchy, a w budowie swej niejednorodny i sprawiający wiele zbędnych niespodzianek.

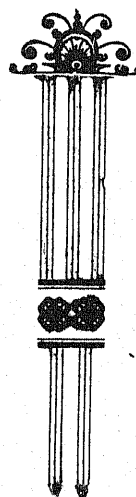
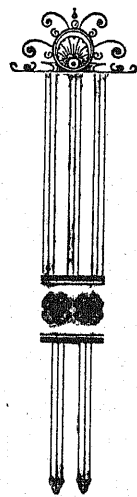
„Bohaterem tytułowym“ sztuki, czy raczej sztuczki, jest wynalazek jakiegoś zatabaczonego profesora — niesamowita maszyna do — wskrzeszenia umarłych. Puszczanie w ruch tego aparatu sprowadza z tamtego świata szereg zapomnianych już przez żyjących na lez padole — postaci, powodując oczywiście tym sposobem milion niebywałych komplikacji. Ale „epokowy wynalazek“ potrafi nie tylko ożywić umarłych, lecz również zabezpieczyć wieczny żywot pozostającym jeszcze po tej stronie bytu. Wywołuje to istną rewolucję — lekarzy, przedsiębiorców w pogrzebowych, aptekarzy, młodych lekkoduchów, wyczekujących na spadki po bogatych ciociach i wujaszkach etc., etc. Koniec końców — zrewoltowany tłum ma dość — z różnych względów — dobrodziejstw „epokowego wynalazku“, wdziera się do mieszkania profesora i rozbija cudowną maszynę na drobne szczątki.

Wszystko to ostatecznie jako tako znieść by można. Niewiadomo jednak po co i dla czego, ożywił p. Hertz m. in. pomurę duchy... Aleksandra III i Bismarcka, każąc im wieść jakiegoś niepotrzebne całkiem i jałowe dysputy polityczne oraz gotować światu nowe krwawe kataklizmy. Obok paru całkiem realnych i dowcipnie zarysowanych postaci groteski, te „zjawy“ błądzą po scenie naprawdę ni przypiął, ni przylatał, psując lekki naogół i może nawet zbyt bezpretensjonalny nastrój komedijki. Duże jej braki pokrył w pewnej części cały niemal ensemble Teatru Letniego z powracającą na scenę p. Łaską m. in. na czele. Dzielnie się spisali pp. Jasińska, Lenerówna, Orwid, Zelwerowicz, Kurnakowicz, Jarszewski — ale i ta

gwardja komedjowa nie mogła obronić reducty, przez samego jej budowniczego skazanej niejako na — upadek...

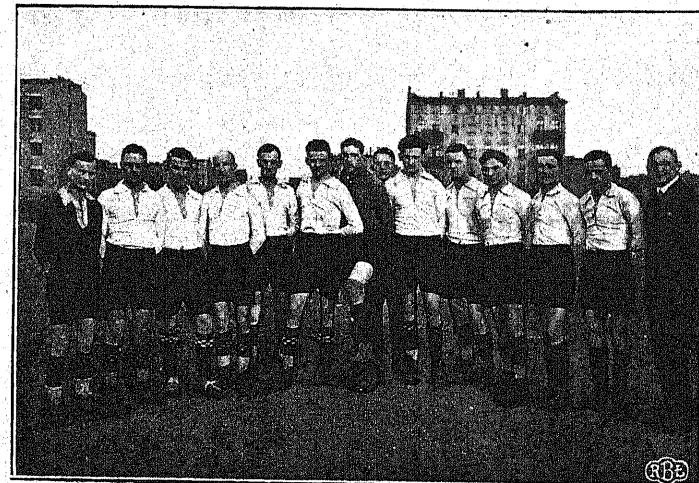
Syt triumfów warszawskich, ostatnio w roli Molierowskiego Arnolfa odniesionych, mistrz Solski zbiera obecnie laury w Poznaniu, występując ze zwykłym powodzeniem w „Dożywociu“ Fredry oraz jednoaktówce Rydla p. t. „Z dobrego serca“. Najbliższe występy p. Solskiego zapowiedziane są w „Wielkim Fryderyku“ Nowaczyńskiego, reżyserowanym przez znakomitego gościa.

Bardzo oryginalne widowisko wielkopolskie wystawił poznański Teatr Nowy. Jest to utwór Teofila Destaufelesa p. t. „Pięć obrazów z Ewangelji“, których tekst jest właściwie tekstem odpowiednich rozdziałów z



W związku z powierzeniem sprawy zatargu w przemyśle włókienniczym rządowej komisji arbitrażowej w dniu 26 b. m. przybyli do Łodzi przedstawiciele rządu w osobach pp. wicepremiera Bartla i ministrów Jurkiewicza i Kwiatkowskiego. Na zdjęciu widzimy powitanie gości na dworcu przez wojewodę p. Jaszczółta, komisarza rządu Iżyckiego i komendanta policji Niedzielskiego.

Fot. A. Meyer.



Sezon piłkarski w Łodzi rozwija się w całej pełni. Coraz częściej spotykają się drużyny na wspólnych zawodach. W ubiegłą niedzielę odbyły się dwa spotkania, a mianowicie: Ł. K. S. rozegrał zawody rewanżowe z Legią Warszawską oraz Turyści z drużyną górnośląską I. F. C. Zdjęcie pierwsze przedstawia zespół drużyny Legii, drugie zaś drużynę I. F. C. Fot. A. Meyer.

Ewangelji powiązanych z sobą jedynie niezbędnymi niemi pracy autorskiej. Widowisko to, z pietyzmem na scenie Teatru Nowego zrealizowane, czyni bardzo podniosłe wrażenie i ściąga do Teatru wiele spragnionej poważniejszych i głębszych emocji — publiczności.

Dzielnie i z rozmachem pracuje w b. sezonie teatr lubelski, pozostający pod doświadczeniem kierownictwem p. St. Wysokiej i R. Wasilewskiego. Sensacją dnia w starym trybunalskim grodzie było niedawno wystawienie „Balladyny“ z ilustracją muzyczną, opartą na motywach pięknej opery Żeleńskiego — „Goplana“. Obecnie scena lubelska pracuje z zapałem nad godnym wystawieniem niegranego dotąd nigdzie najnowszego dramatu Emila Zegadłowicza p. t. „Król Dawid i Betsaba“.

Znany literat i teatrolog włoski dr. Francesco Prandi uczynił wyłom w powszechnych zwyczajach teatralnych Italji, zakładając w Rzymie „Teatro Stabile“ (Teatr Staly). Wyłomem nazwać bowiem trzeba odstępstwo od zdawna przyjętej we Włoszech zasady — zakładania i prowadzenia jedynie teatrów sezonowych, wędrownych, co oczywiście odbija się ujemnie na ogólnym poziomie artystycznym tego rodzaju zespołów. Prandi posiada wprawdzie poprzednika w osobie A. Bragaglii, który już przed kilku laty zorganizował również w Rzymie stały teatrzyk p. n. „Teatru Niezależnych“, impreza jednak Prandi'ego zamierzona została na daleko szerszą i poważniejszą skalę. Kampanję swą rozpoczął Prandi wystawieniem „Parisiny“ — d'Annunzia w nadzwyczaj oryginalnych dekoracjach młodego malarza Mario Pompei. Z innych sztuk — wystawionych dotychczas przez Teatro Stabile, największem powodzeniem cieszy się groteska Molnara „Zabawa na zamku“, grana obecnie na scenach polskich p. t. „Jedyny ratunek“.

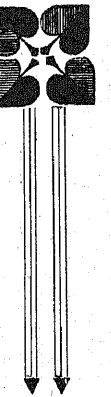
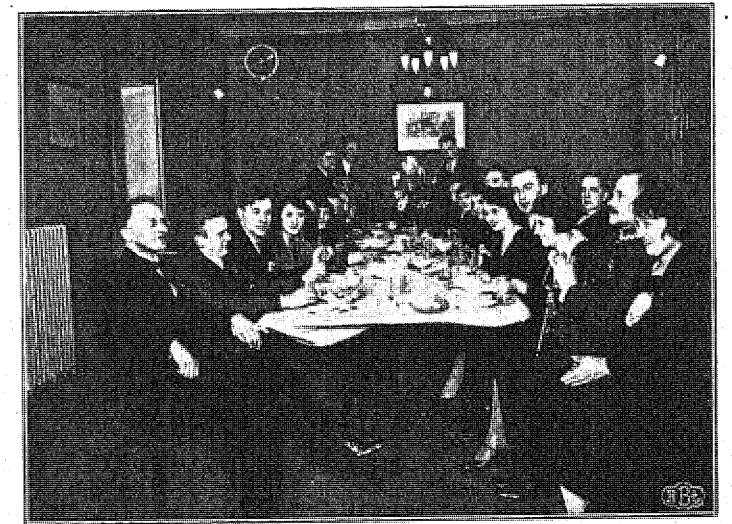
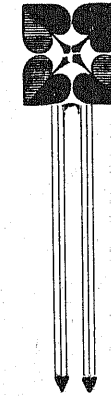
Słynny komedjopisarz angielski Sheridan

w jednej ze swych sztuk wyraził się bardzo uszczypliwie o parlamencie z powodu odwołania przezeń subwencji dla teatru i nazwał m. in. „wysoką izbę“ — „brudnym skąpcem“. W konsekwencji, w myśl uznawanych wówczas obyczajów, skazany został Sheridan na przeproszenie parlamentu na klęczkach. Poddawszy się tej upokarzającej karze, Sheridan potrafił się jednak zemścić na szanownym zgromadzeniu zjadliwie a natychmiast: Podniósł się z klęczek, a otrzepując chustką pył z kolan zawołał: „Ach, jaka ta izba jest brudna!“... Niebezpiecznie jest, słowem, zadzierać z... dowcipnymi autorami.

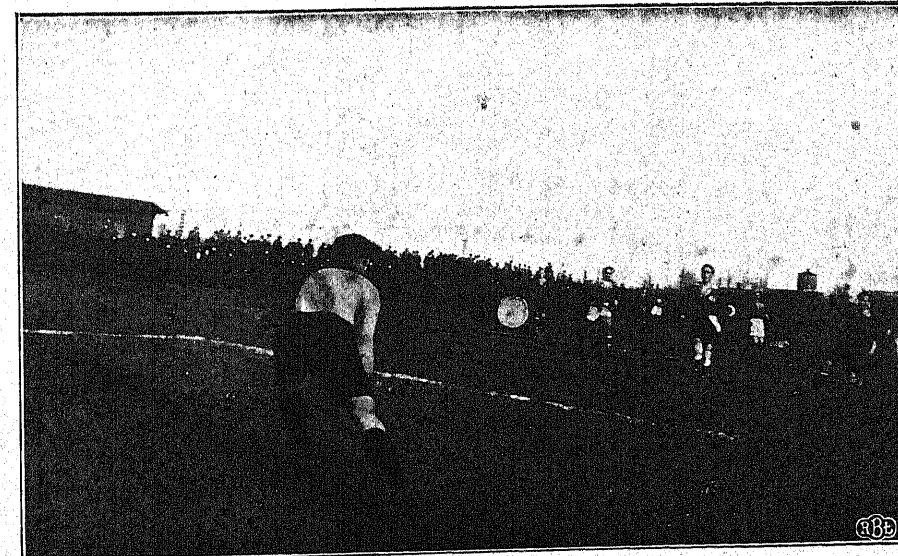
Jeden z przyjaciół słynnej aktorki „Comédie Française“, p. Mars, markiz de Ch., pozostawił jej, umierając, swoją cenną bi-

bliotekę. Ponieważ jednak artystka, mimo swój talent sceniczny, do książek najmniejszego pociągu nie czuła, postanowiła spieniężyć bibliotekę, polecając sekretarzowi swemu sporządzić katalog. Pewnego dnia sekretarz, wszedłszy do buduaru artystki, oznajmił jej wzruszonym głosem: „Ma pani w swej bibliotece naprawdę cenne dzieła; oto co w jednym z nich znalazłem“. To mówiąc, położył przed artystką 40,000 fr., znalezionej pod okładką książki. „Nadzwyczajnie!“ — wykrzyknęła p. Mars. — „Szko- da, że mój zmarły przyjaciel nie wszystkie swe książki oprawił w podobny sposób; stałabym się wówczas prawdziwą i namiętną bibliofilką!“ Komentarze zbyteczne — mówiąc stylem reporterskim...

Delta.



Harcerski Klub Sportowy w Łodzi wydał bankiet na cześć Wyższej Szkoły Handlowej w Poznaniu z okazji rozegranych zawodów w piłkę siatkową. Na zdjęciu grono osób, biorących udział w przyjęciu. Fot. A. Meyer.



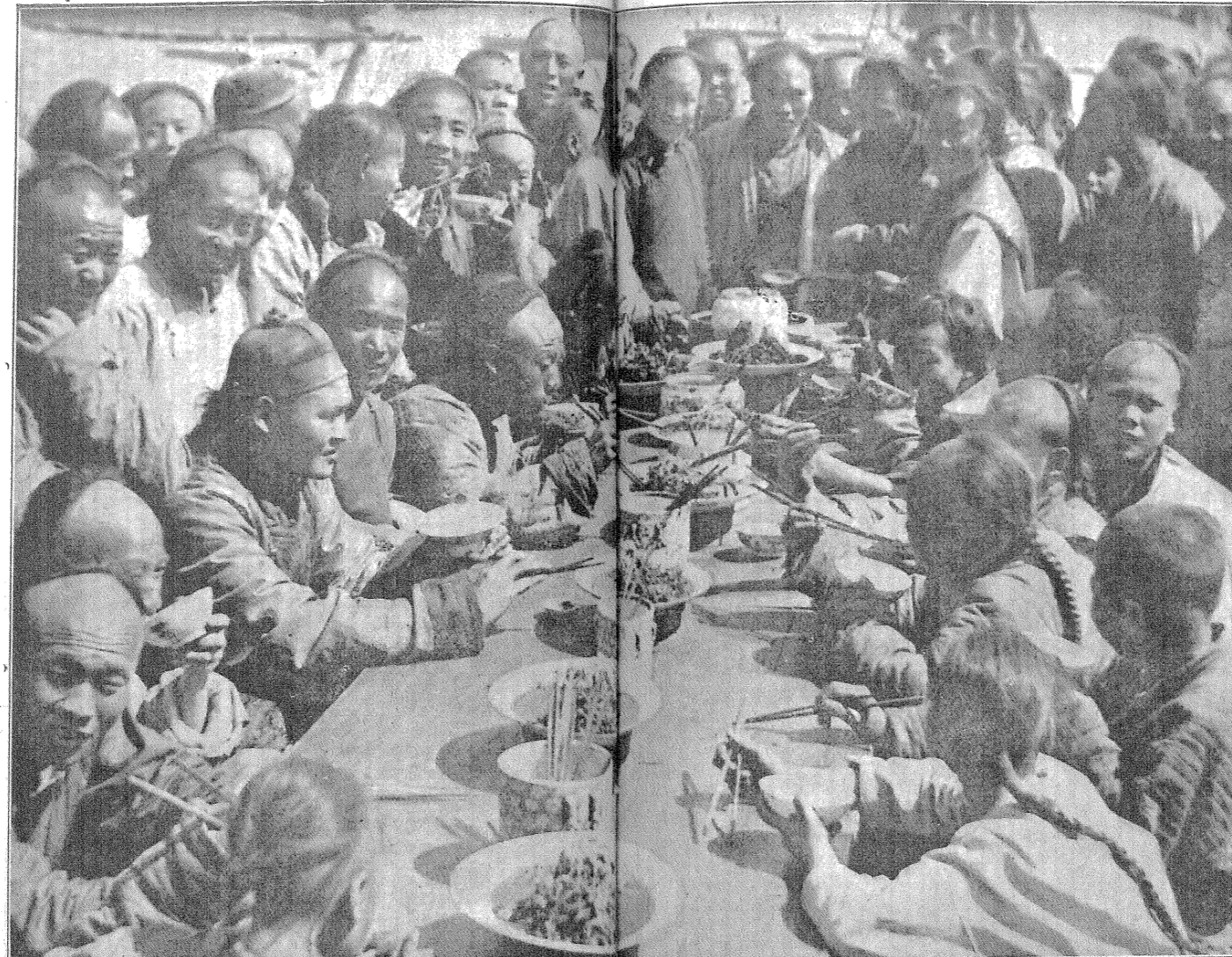
Moment pod bramką Ł. K. S. w czasie zawodów z Legią Warszawską. Fot. A. Meyer.



Dyrektor Pałacu Sztuki w Warszawie p. Smokalski, organizator wystawy Mistrzów Malarstwa Polskiego w Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi.



Egzotyczni goście w Londynie. Grupa mieszkańców dalekiego Tybetu przybyła na zaproszenie jednej z wytwórni filmowych, celem wzięcia udziału przy wyświetlaniu filmu z ekspedycji na Mont Everest.



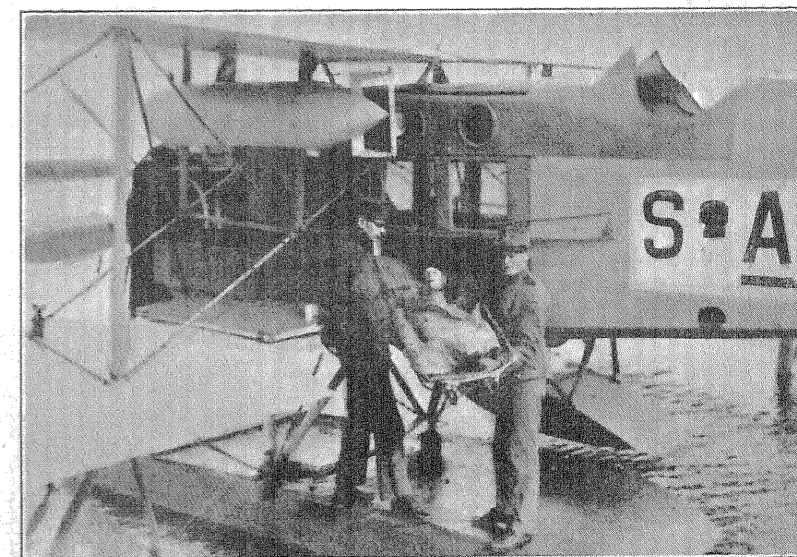
W państwie żółtego smoka. Typowa restauracja chińska pod niebem w Pekinie. Liczna grupa konsumentów przy stole, obficie zaopatrzonej potrawy ryżowe.



Jeźdźcy chińscy w armji kantońskiej.



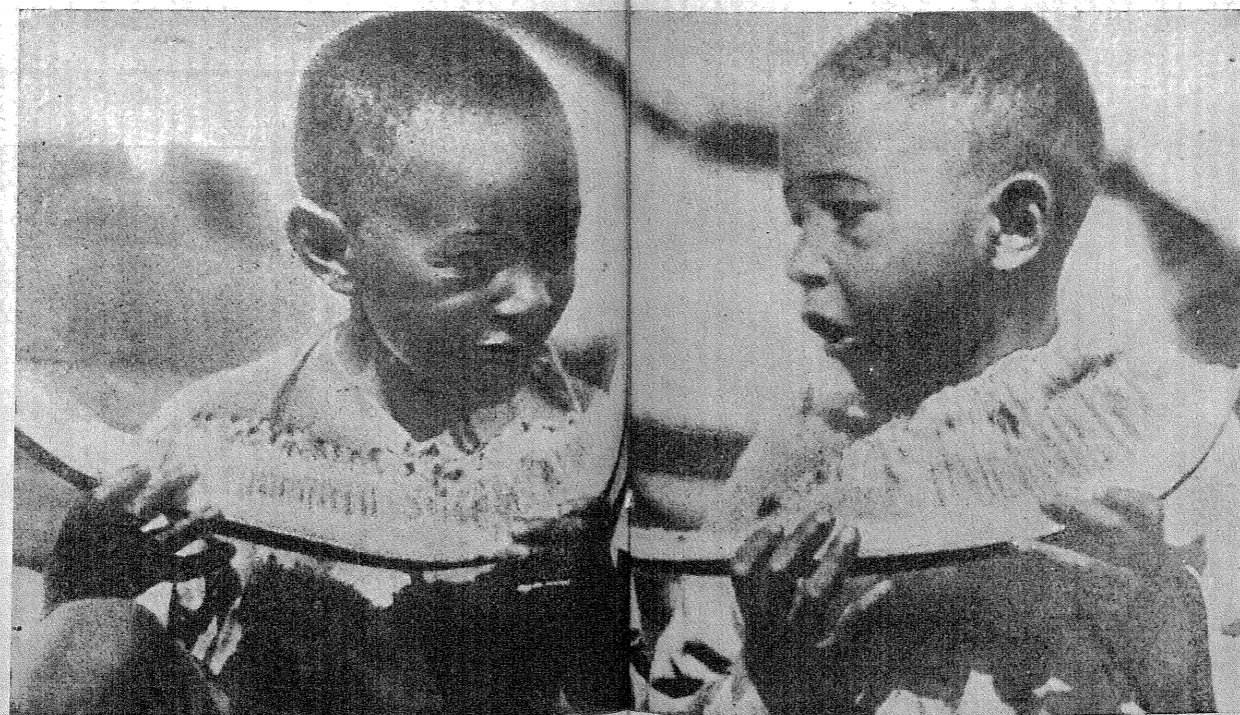
Światowej sławy lotnik de Pinedo projektuje nowy wielki lot przez Atlantyki. Na zdjęciu znakomity pilot i jego samolot.



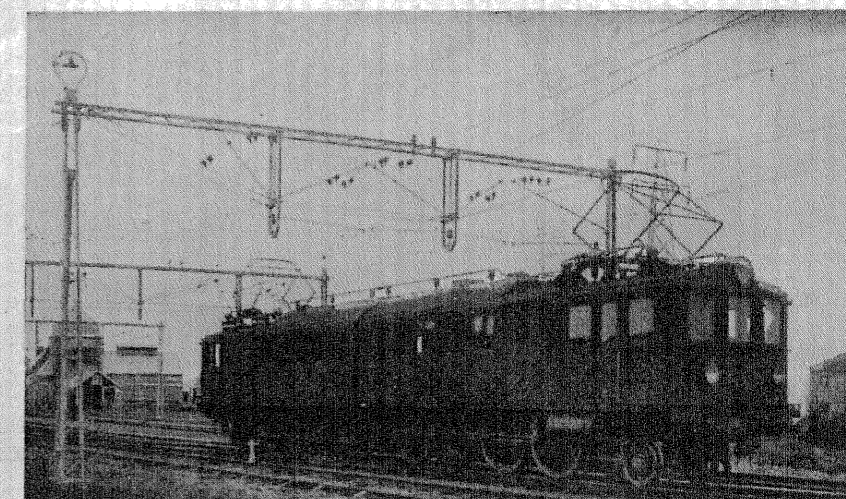
Powietrzne pogotowie ratunkowe w Laplandji. Na zdjęciu samolot sanitarny z obsługą.



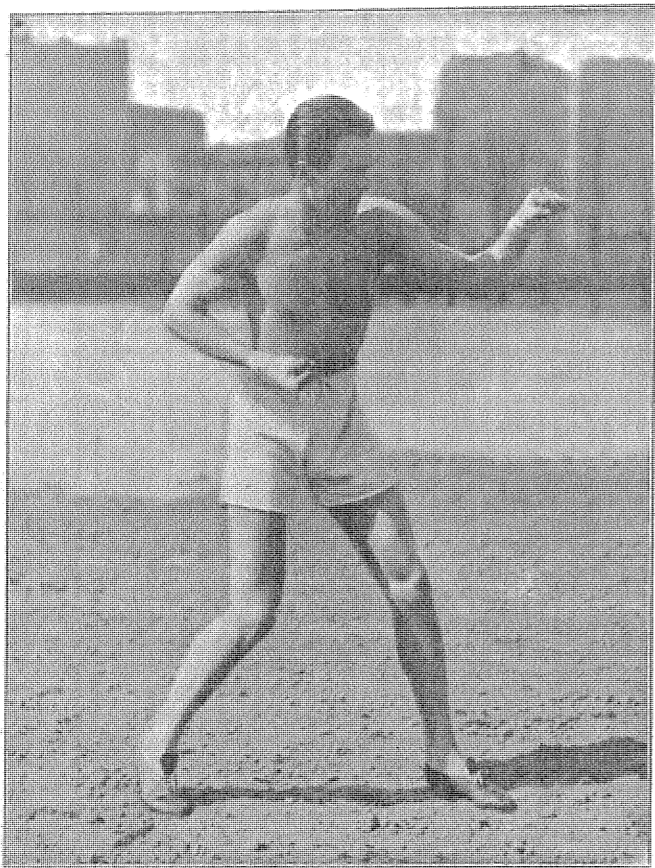
Lapończycy na burzliwym jeziorze Stara Lule.



Mieszkańcy najbardziej gorącego zakątka naszego globu. Murzyni amerykańscy z apetytem zjadają soczysty i orzeźwiający melon.



Maszyna kolei elektrycznej, kursującej przez Laponię.



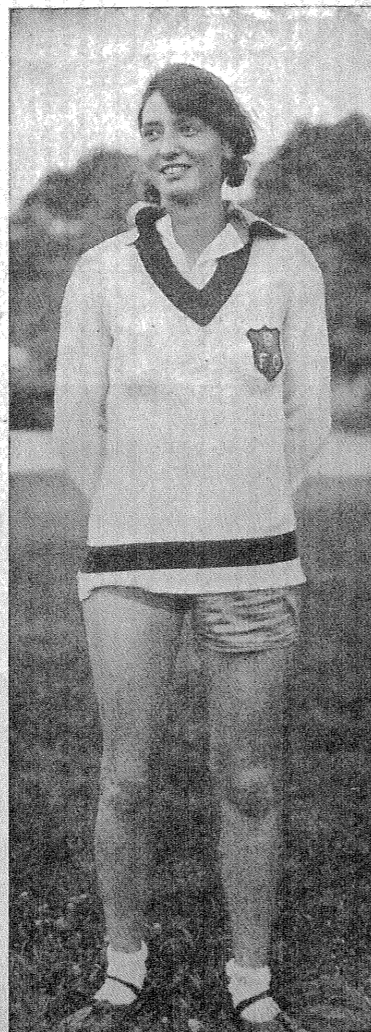
Kazimierz Laskowski przy treningu w Centralnej Wojskowej Szkole Gimnastycznej w Poznaniu.



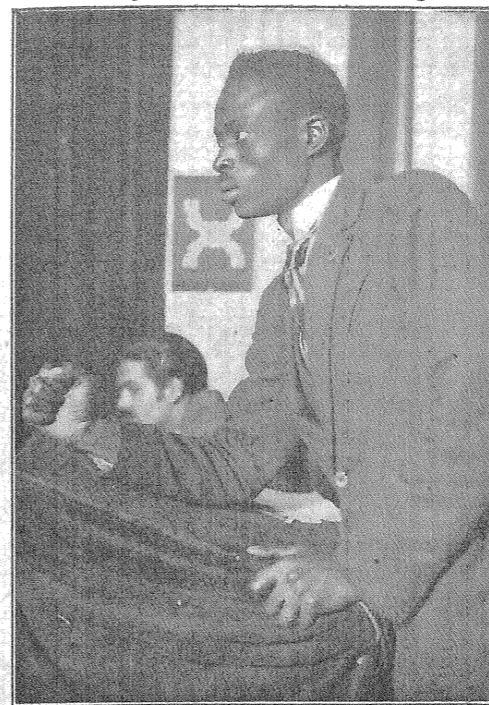
Gra w piłkę nożną wśród kobiet. Na zdjęciu widzimy kapitanów dwóch drużyn przed rozpoczęciem gry.



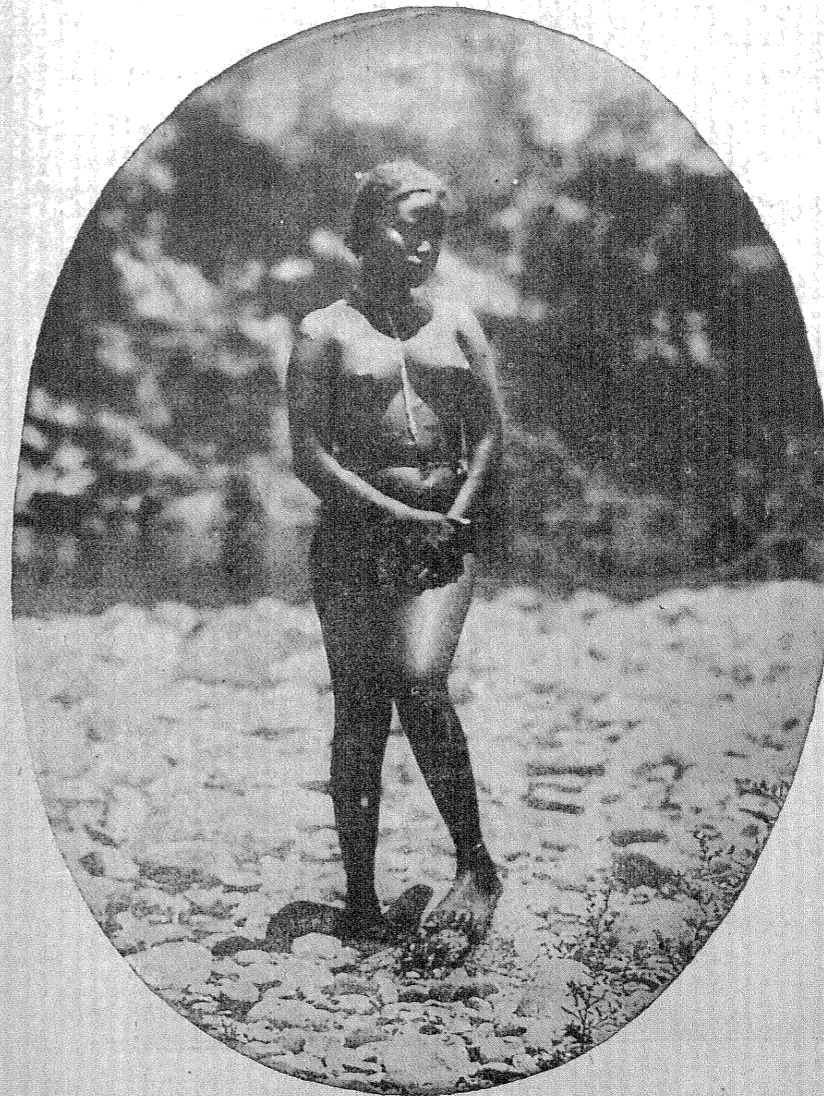
Stylowa „główka“ jednego z napastników Warszawskiej „Polonji“.



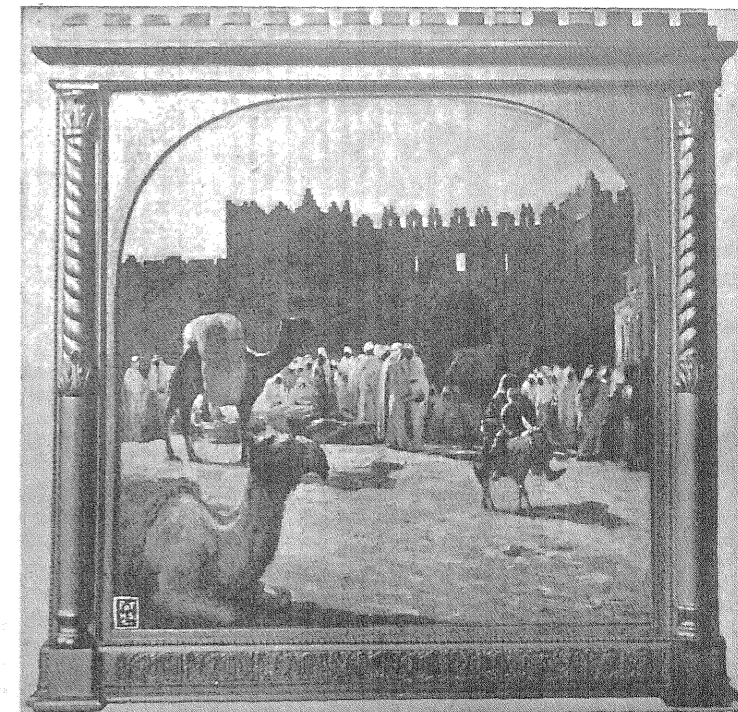
Rekordzistka światowej sławy Halina Konopacka, zaproszona na międzynarodowe zawody kobiet w Berlinie.



Przedstawiciel murzynów na Kongresie Antykolonialnym.



Piękność murzyńska udaje się do kąpieli



„Pod bramami Jerozolimy“ — obraz art.-mal. A. Behrmana



„Włoszka“ — Axentowicz.

ALBERT - JEAN.

Kiedy drzwi się otworzą...

M. Gardannes patrzył uporczywie na drewniane drzwi, pomalowane na zielono z małym otworem w miedzianej obwódce po środku. I zrozumiał, że spokój jego ogniska domowego znikł wraz z panią Gardannes za temi wąskimi drzwiami, które przejeżdżające nadbrzeżną ulicą wozy obryzgiwały kredowym błotem.

— List miał rację — szepnął.

Od czasu ślubu swego M. Gardannes często stawał sobie następujące pytanie:

— Gdybym otrzymał anonim ostrzegający mnie o zdradzie żony, cobym zrobił?

I odpowiadał sobie zawsze w szlachetnym porzywie:

— Rzuciłbym list do kosza!

Teoria teoria, a praktyka praktyka, niestety. To też kiedy M. Gardannes znalazł pewnego ranka wśród korespondencji kwadratową kartkę, poplamioną tłuszczem i bladym atramentem, donoszącą mu o złem prowadzeniu się M-me Gardannes, zaniepokojony, zamiast podrzeć nikczemny papier — przeczytał go uważnie i z miejsca rozpoczął dyskretnie śledztwo, na skutek czego stał o to skamieniały w bólu przed temi drzwiami, które małżonka - winowajczyni tylko co pchnęła żywym ruchem swej dłoni.

— Kiedy pierwszy raz skłamała przede mną? — zadawał sobie pytanie.

Zwątpienie zatruwało wszystkie wspomnienia. Każde słowo, każdy ruch żony wydawał mu się teraz podejrzany.

Przed oczyma jego duszy przesuwało mu się jego dotychczasowe życie; życie mieszkańca podmiejskiego, który cały czas wolny od zawodowego zajęcia poświęcał: wieniarz ryb na wędkę i okultizowaniu krzaków różanych.

Żonę ubóstwiał i nigdy nie przyszło mu na myśl podejrzewać ją o zdradę.

— Tak jej ufałem! — powtarzał z goryczą w duchu.

* * *

Ocieżałym krokiem M. Gardannes zszedł z ulicy na stromy brzeg skąd — oszukany mąż — mógł swobodnie obserwować zło-wróźbne zielone drzwi.

Jedno ze zdań nikczemnego listu, jak piana zalało mu mózg:

„Jesteś za stary dla niej; znalazł się młodszy...”

Fala krwi purpurowej uderzyła mu do głowy i przeszła po skrzywionej bólem twarzy:

— Młodszy!... Młodszy!... Ach!... No, no... Zobaczymy!...

Wsunął rękę do kieszeni swej kurtki. Kratkowana raczka automatycznego pistoletu, zalechotała mu w dłoni. Mrówki go pizeszły.

Wokoło człowieka tego, który przygotowywał się do roli nieublaganego sędziego zmierzch siał cienie zdradliwe.

M. Gardannes nie czuł cudownego aromatu powietrza, przesiąkniętego słodkim

zapachem kwiecia niewidzialnych lip... Nie widział małych fal błękitnych, purpurowych i fioletowych — które mijający statek odrzucał ku wybrzeżu, gdzie, na jednej z pochyłości, jakiś rybak siedząc na kamieniu raz po raz zapuszczał wędkę w wodę barwy lazuru.

Jedna jedyna myśl prześladowała M. Gardannes:

— Kiedy drzwi się otworzą, które z nich wpięrw wyjdzie?... Kogo zabije?... Moją żonę, czy jego?...

Błękit nieba bladł powoli. Tafla rzeki zmacona pionowo unoszącami się nad nią tumanami komarów mieniła się cieniami fioletu.

M. Gardannes stracił miarę czasu. Tępyim wzrokiem wpatrywał się w ruchy rybaka, który regularnie zdejmował drobne rybki nadziane na haczyk jego wędki. Napięty, jak cięciwa mózgu kojarzył w dziwny, niesamowity spłot drzewi zielone, za którymi czała się zbrodnico hańba jego honoru, i zdradliwa wędka, wabiąca ku sobie zamieszkujący nurty światek żyjący.

Jakkolwiek nie spuszczał drzwi z oczu, nie mógł się powstrzymać od skośnych błyskawicznych spojrzeń w stronę nieznanego rybaka i stwierdzenia szczególniejszej analogii ruchów jego ze swojskimi mu, bo przez niego samego przy procesie łowienia ryb uprawianymi ruchami.

Zdradzony mąż bił się jednocześnie z myślami:

„Które z nich zabije?... i: „Co za rybne miejsce!”

...Wtem rybak zerwał się z kamienia i chwając się na nogach z ramieniem wyciągniętem, krzyknął:

„Pstrąg!”

M. Gardannes, jak iskrą elektryczną tknięty, drgnął i całą twarzą zwrócił się do rybaka, który nie skłamał! Piękny dwufun-

towy pstrąg o błękitnym grzbiecie i srebrzystym podbrzuszu drgał w konwulsyjnych rzutach u haczyka wędki, zielonawymi płetwami bijąc o wodę, podczas gdy pret gwał się niemal we dwoje, grożąc lada chwila pęknięciem.

— Nie ciągnijcie! Wszystko przypadnie! — zawołał M. Gardannes.

— Kiedy nie mam podrywki! — przyznał się rybak zrozpaczony.

— W takim razie trzeba zanurzyć rybę w wodę!

Pewnym ruchem znawcy M. Gardannes wyrwał pret z zaciśniętych palców niezgrabiasza i kierując go ostrożnie to w prawą, to w lewą stronę po linii poziomej doprowadził pstrąga do wyczerpania. Oczy ryby zabłysły na powierzchni wody.

— Tak!.. Dobrze!.. Nie trzeba się spieszyć!.. Mamy dość czasu!

Dusząc się w powietrzu szarpającymi jego skrzelami pstrąg ciągnął już tylko wędkę sporadycznymi konwulsyjnymi rzutami swego zeszywniałego karku.

— Nasz! — zawołał M. Gardannes radośnie.

* * *

W teje chwili zielone drzwi się otworzyły i niewierna małżonka stanęła na progu.

M. Gardannes usłyszał stuk zamykającego się skrzydła i, nie odwracając głowy, zapytał przygodnego towarzysza:

— Kto wyszedł tylko co z tego domu? Mężczyzna czy kobieta?

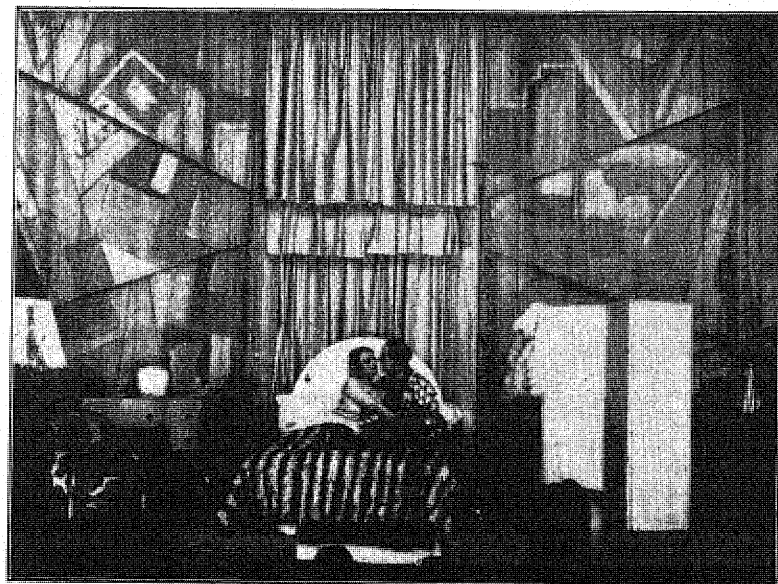
— Kobieta! — odparł zapytany ze zdziwieniem w oczach.

Tajemniczy uśmiech łagodnym światłem okraślił oblicze M. Gardannes.

— Dzięki ci Boże! — szepnął wzruszony.

I wyciągnął na brzeg zmęczonego pstrąga.

Tłum. Jotsaw.



Polska komedia p. n. „Niewinna Grzesznica“ na scenie teatru w Paryżu.



Rok IV.

Łódź, dnia 10 kwietnia 1927 roku.

Nr. 15.

Zjazd architektów polskich w Łodzi.



W dniu 26 marca r. b. w sali Towarzystwa Kredytowego w Łodzi przy ul. Pomorskiej odbył się czwarty zjazd delegatów architektów Rzeczypospolitej. W zjeździe wzięły udział delegacje Warszawy, Krakowa, Lublina i szeregu mniejszych miast polskich. Na zdjęciu widzimy grupę gości, biorących udział w zjeździe oraz przedstawicieli władz samorządowych państwowych i instytucji społecznych m. Łodzi.